

## Jan Rokita: Siły stanu

Włoski casus jest ciekawy i pouczający. Unaocznia bowiem wyraziście, że przy dzisiejszych stosunkach panujących wewnątrz Unii nawet duży, zamożny i potencjalnie wpływowy kraj może wpaść w pułapkę „państwa mandatowego”. Po I wojnie światowej taką możliwość otwarcie wpisano do reguł prawa międzynarodowego. W sto lat później w takim samym kierunku idzie interpretacja traktatów europejskich, w których mowa o roli Komisji Europejskiej, jako „strażnicze traktatów” – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Jeśliby na serio brać ton, jaki po dymisji włoskiego rządu zapanował w europejskich (także polskich) mediach, trzeba by uznać, że w Rzymie rozgrywa się teraz jakaś polityczna tragedia o paneuropejskim wymiarze. Oto bowiem były prezes unijnego banku centralnego Mario Draghi przestanie pełnić urząd premiera Italii, a na domiar złego – we wrześniu przeprowadzone zostaną tam wybory parlamentarne. Jeśli zważyć, iż od poprzednich wyborów upływają już cztery lata, zaś kryzysy rządowe – to przecież specjalność włoskiego modelu demokracji, na pierwszy rzut oka nie widać rozsądnego powodu tej nagle wybuchłej w unijnej Europie paniki i rozpacz. A jednak taki powód istnieje. Półtora roku temu Draghi po to zostawał premierem Italii, aby doprowadzić do zmiany politycznego krajobrazu, w którym dominowała naonczas alt-prawicowa Liga. Włochom wytłumaczono wtedy, że premierostwo w ręku unijnego bankiera oznacza po pierwsze – transfer największych w historii kraju funduszy europejskich, w ramach programu odbudowy

pocovidowej. A po drugie – europejski prestiż, bo Draghi będzie pokazywany przy różnych okazjach jako „ważny partner” prezydenta Francji czy kanclerza Niemiec. Włosi dostali zatem swoją wersję „trójkąta weimarskiego”, dzięki której, gdy na przykład Scholz i Macron uznali, że ich interesy wymagają już wyprawy do walczącego Kijowa, to do Rzymu dzwoniono z wiadomością: „Mario, zabieraj się z nami, to zrobisz sobie zdjęcie, które spodoba się twoim rodakom”.

Obietnica wielkich pieniędzy dla gospodarki, pogrążonej od przeszło dekady w nieustannym kryzysie, oraz zewnętrznego prestiżu dla państwa, zwyczajowo traktowanego w polityce europejskiej z lekceważeniem, miały sprawić, że wyborczy zwrot w prawo stanie się niepodobieństwem. To właśnie miał sprawić Mario Draghi. Jednak nie sprawił. Co prawda, do rydwanu Draghiego udało się zaprząć nie tylko stare partie włoskiej lewicy, centrum i prawicy, ale także lewicowo-anarchiczny Ruch Pięciu Gwiazd, no i przede wszystkim najgroźniejszą alt-prawicową Ligę. Ta ostatnia została przyciśnięta szantażem europejskich pieniędzy, wyczekiwanych przez północno-włoski biznes, stanowiący fundament jej społecznego zaplecza. Ale poza „systemem Draghiego” pozostała mała, jak się wydawało, alt-prawicowa partia Przyjaciół Włochów, pod wodzą Giorgii Meloni. I tu tkwił właśnie feler „systemu Draghiego”. Przyjaciele Włosi, którym pozostawiono przestrzeń ekskluzywnej opozycji, wybili się w ciągu półtora roku na najważniejszą włoską partię, a Meloni stała się głównym kandydatem na szefa rządu po wrześniowych wyborach. Tym samym spalił na panewce cały przemyślny koncept, który polegać miał na zagwarantowaniu staremu establishmentowi trwałej władzy, dzięki czasowemu przejściu rządu przez brukselskiego mandatariusza. Stąd obecna panika i rozpacz. Lider włoskiej lewicy Enrico Letta widzi najświeższe zdarzenia polityczne w swoim

kraju w kategoriach „zbiorowego samobójstwa”. Czyjego? Starej klasy politycznej, w której nie sposób już rozpoznać, kto kiedyś był komunistą, kto chadkiem, a kto liberałem.

*Nominacji premiera  
towarzyszyła tzw. „agenda  
Draghiego”,  
czyli nietypowy program  
działania gabinetu, będący  
listą  
warunków wypłat, postawionych  
Włochom przez Komisję  
Europejską*

Italia jest  
w Europie nie od dziś  
traktowana jako kraj,  
którego demokracja  
wymaga co jakiś czas

zewnątrznego „naprostowania”. I to nie znanymi dobrze u nas metodami napomnień, przygan, presji, czy procesów sądowych, ale po prostu – na drodze czasowego przejęcia władzy bezpośrednio przez unijnego funkcjonariusza, obdarzonego mandatem zaufania Brukseli, Berlina i Paryża. Dekadę temu, gdy Italia zabiegała gorliwie o finansowanie ścigających ją banków-wierzycieli, Unia narzuciła jej brukselskiego komisarza Mario Montiego jako premiera, po czym podyktowała ustawę budżetową na rok 2012. Rok temu, gdy sytuacja się niemal powtórzyła, tyle że stawką stał się fundusz odbudowy – identyczną misję otrzymał odchodzący szef banku frankfurckiego Mario Draghi. Jego nominacji towarzyszyła tzw. „agenda Draghiego”, czyli nietypowy program działania gabinetu, będący listą warunków wypłat, postawionych Włochom przez Komisję Europejską. Te warunki – to owe sławetne „kamienie milowe”, znane nam dobrze w Polsce, często niezwiązane z wydatkowaniem

funduszy, ale będące po prostu zewnętrznymi pomysłami na to, jak urządzić państwo włoskie. Teraz rozgorzał zatem w Rzymie nieco zabawny spór o to, czy po upadku Draghiego partie powinny nadal odwoływać się do jego „agendy”. Lewica próbuje się pozycjonować jako gwarant tego, że wielkie pieniądze popłyną z Brukseli do Rzymu, więc zamiast programu wyborczego oferuje wyborcom „agendę Draghiego”. Co bardziej przytomni analitycy (jak choćby naczelny gazety „Liberò” Alessandro Sallusti) śmieją się z takiego chwytu, wykazując, iż: „agenda Draghiego nie istnieje jako program polityczny, gdyż jest to tylko lista zadań podyktowanych nam przez Europę”.

Włoski *casus* jest ciekawy i pouczający. Unaocznia bowiem wyraziście, że przy dzisiejszych stosunkach panujących wewnątrz Unii nawet duży, zamożny i potencjalnie wpływowy kraj może wpaść w pułapkę „państwa mandatowego”. Po I wojnie światowej taką możliwość otwarcie wpisano do reguł prawa międzynarodowego, co znalazło swoje odbicie w treści słynnego artykułu 22 Konwencji Ligi Narodów z 1919 roku, wymyślonym przez lorda Balfoura. W sto lat później w takim samym kierunku idzie interpretacja traktatów europejskich, zwłaszcza tych ich bardzo ramowych przepisów, w których mowa o roli Komisji Europejskiej, jako „strażnicze traktatów”. Jak dowodzi przykład włoski, okolicznością polityczną stwarzającą najlepsze po temu warunki, są obietnice wypłat znaczących funduszy europejskich. Nic w tym zresztą dziwnego, w końcu wiadomo, że „nie ma obiadów za darmo”. Ale z włoskiej lekcji dowiadujemy się także, że kto raz wpadł w pułapkę „państwa mandatowego”, może mieć kłopot z wyrwaniem się z niej. Bo kto raz wziął Montiego, ten za jakiś czas dostanie Draghiego.

*Z włoskiej lekcji dowiadujemy się, że kto raz wpadł w pułapkę „państwa mandatowego”, może mieć kłopot z wyrwaniem się z niej*

Jedno jest w każdym razie pewne: szkody, jakie niesie władza sprawowana z międzynarodowego mandatu, przewyższają wszelkie możliwe

pożytki z tego tytułu. W Italii widać to wyraźnie właśnie teraz, gdy kryzys rządowy przewraca „system Dragiego”, a demokracja musi powrócić do swoich zwyczajnych kolein. Jakaś część klasy politycznej w swoisty sposób korumpuje się, przyzwyczajając się do władzy mandatowej i wyciągając z niej dla siebie polityczne korzyści. Nagłe ponowne zetknięcie z demokratycznymi realiami, bez zewnętrznego protektoratu, wywołuje wtedy efekt paniki i rozpacz, a wizja władzy wyłonionej w zwykłych wyborach zdaje się czymś na kształt „zbiorowego samobójstwa”. Polityka zaczyna w efekcie tracić swój podstawowy walor ideotwórczy. Po co samemu starać się twórczo myśleć o przyszłości kraju, skoro kwestię planu rządu i wypłat zagranicznych pieniędzy, najlepiej rozwiązuje odwołanie się do ustalonej przez Komisję Europejską „agendy Dragiego”? Owo skorumpowanie systemu politycznego w gorszy sposób dotyczy opinii publicznej. Jakiś jej odłam, z reguły silny, choć mniejszościowy, oswaja się z przekonaniem, iż dobry rząd wymaga międzynarodowego mandatu, gdyż wewnętrzne siły kraju są zbyt wątłe, aby być w stanie go wyłonić. I idzie już nawet nie o kontrowersyjną wewnątrz unijnej Europy kwestię politycznej suwerenności. Rzecz jest w tym, co Norwid w „Promethidionie” nazywa „siłami stanu”, których organizowanie jest misją „polityka

narodowego”. „System Draghiego” sprawia, że owe „siły stanu” w narodzie więdną, a ich miejsce zajmuje bezwłasnowolny narodowy letarg i zepsuta rachuba na jakieś zewnętrzne ocalenie.

*Jan Rokita*

*Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”*



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego